

szych „dygnitarzy” jest nie do pomyślenia. W demokratycznym ustroju polityk musi dbać o każdy głos i opinię niemal każdego spotkanego. Poza tym sens demokracji polega na tym, że nikt w niej nie zadziera nosa. Wszyscy bowiem są równi wedle prawa. W demokracji ludowej PRL byli zawsze równi i bardziej równi, ci ostatni umieli to nawet dać spotkanemu do zrozumienia. Na „górze” panowały podobnie sztuczne stosunki międzyludzkie. Gdy Gomułka był w łaskach, to Breżniew całował się z nim przy każdej okazji. Gdy Gomułka odszedł w niełaskę w 1970 r. to Breżniew już go „nie znał”. Zaczął się znów obcałowywać z następcą Gomułki, towarzyszem Gierkiem. Wilcze stosunki, biada być słabym w tym „najbardziej humanitarnym” ustroju.

Co zaś do Mietka Mołdawy, to wspomnę, że po powrocie z obozu koncentracyjnego skończył on architekturę i z profesorem Romualdem Guttem zaprojektował i wybudował Muzeum Pawiaka na granicy b. Getta w Warszawie. Odtąd bardziej go pasjonowała działalność na rzecz Klubu b. Więźniów Gross-Rosen niż architektura. Napisał o tym obozie książki i nawet zeznawał jako ekspert o obozach śmierci na jednym z procesów przeciw oprawcom hitlerowskim w Stanach Zjednoczonych. Dzięki Mietkowi otarłem się o wielką historię świata. Mietek ożenił się bowiem z Izą Skarżyńską, której pradziad generał Skarżyński uratował życie Napoleonowi, na którego była zorganizowana zasadzka. W nagrodę Cesarz przyznał Generałowi i jego męskiemu potomkowi rentę w wysokości 4 ludwików oraz przywilej dopuszczenia na studia wojskowe w sławnej *Ecole St. Cyr* we Francji. Ojciec Izy wciąż dostawał rentę od Ambasady Francuskiej w Warszawie, nie zwaloryzowaną inflacją, ale na studia wojskowe nie poszedł, skończył politechnikę. Za rentę ową, po prawie 200 latach, mógł sobie kupić koszulę.

Szkoła im. Wojciecha Górskiego

W 1948 r. zostałem przyjęty do dość ekskluzywnej wówczas szkoły im. Wojciecha Górskiego, przy ul. Smolnej 30. Uczęszczała do niej młodzież pochodząca z rodzin z tzw. inicjatywy prywatnej i wolnych zawodów, czyli mający zaможnych rodziców, jak na ówczesne warunki. Nosiliśmy czapki w stylu francuskiej *kepi*, budząc duże zdziwienie np. w Krakowie, dokąd raz wybrałem się w podróż w tej czapce. W stolicy czapka ta nie budziła aż takiego zdziwienia. Wśród młodzieży było wielu dorosłych chłopców, którym okupacja zmarnowała lata nauki. Pamiętam wśród nich Ludwika Erhardta, późniejszego znanego krytyka muzycznego.

Najpopularniejszym uczniem był Wojtek Noszczyk, wyśmienity lekkoatleta, który potrafił na ubitym klepisku naszego boiska przebiec 60 m w 7,3 sek. Większość koleżanek podkochiwała się w nim, wybitnie przystojnym, w dobrym stylu chłopaku, synu lekarza. Obecnie jest znanym profesorem chirurgiem-gastrologiem, ożeniony z aktorką. Byłem z nim kiedyś na obozie szkolnym pod Łabskim Szczytem w Karkonoszach. Ukradziono mi tam zegarek szwajcarski

Lanco. Wojtek wszczął dochodzenie, ale zegarek nie znalazł się. Byłem zaszczyczony, że tak popularny kolega zajął się moją skromną osobą i szybko przebolełem stratę. Kiedy Mama dała mi ten zegarek, powiedziała „pilnuj go dobrze, bo może drugiego już nie będziesz miał”. Ta przestroga była dostosowana do tamtych ponurych czasów za okupacji stalinowskiej. Krążyła wówczas opowiadka o sowieckich żołnierzach, co to skarżyli się na „ciężkie czasy, kiedy rabowali zegary z wież polskich magistratów”. Byli znani z tego, że nosili po kilka zdobycznych zegarków na każdym ręku. Wkrótce, Sowieci nauczyli się produkować zegarki (*Pobieda*), które momentalnie stały się „najszybszymi” na świecie. Tak bardzo zależało wówczas Sowiecom na przekonaniu, iż przodują w każdej dziedzinie w świecie.

W szkole uczono nas, że wszystkie ważniejsze wynalazki na świecie były dziełem Rosjan. Śmieliśmy się z tego i my uczniowie, z kolei odkrywaliśmy coraz to nowych sowieckich wynalazców. Na przykład sprzecaliśmy się z matematykiem, że wzór na pole trójkąta wynalazł Rosjanin *Pietiagoras* a nie Grek Pitagoras. Natomiast za wynalazcę okularów uznaliśmy sowieckiego Gruzina o nazwisku *Gównowidze*. Nasi nauczyciele bardzo nie lubili tego typu popisów, bo nie wiedzieli czy to prowokacja, czy też nie skończy się na donosie i wyrzuceniu z pracy. Były to czasy, kiedy w zatłoczonym tramwaju można było usłyszeć „nie pchaj się pan, pan nie wie kim ja jestem”.

W czasie szkolnych rekolekcji wielkanocnych w kościele Św. Krzyża na Krakowskim Przedmieściu chodziliśmy z kolegami ze szkoły na Stare Miasto. Było ono jeszcze nie odbudowane, pełne gruzów i zniszczonych domów. Bawiliśmy się w nich w „powstańców” co polegało na kryciu się i wzajemnym obrzucaniu się kamieniami. Że nikt z nas nie oberwał kamieniem w głowę to istny cud, zapewne „wynik” rekolekcji.

W szkole grałem na każdej przerwie w ping-ponga, ogrywając większość kolegów. Nauczyłem się grać w YMCA, a potem przeniósłem się do klubu Polonia (Zrzeszenie Kolarzy), który mieścił się przy ul. Foksal, w pięknym budynku w stylu *rococo*, gdzie jest obecnie bank. Po lekcjach przebiegałem nasze szkolne boisko i momentalnie znajdowałem się na sali ping-pongowej Polonii. Sekcja ping-pongowa była w pierwszej lidze, w której prym wodzili bracia Jan i Stanisław Kuglerowie. W sekcji tej wyrósł późniejszy znakomity ping-pongista Zbyszek Caliński, wielokrotny mistrz Polski. Grałem w drugiej drużynie, nieraz ze Zbyszkim i Albinem Surmą, który zginął w wypadku tramwajowym. Jako tzw. młodzik grałem nieraz pokazowe mecze przed spotkaniami seniorów. Byłem zwykle bardzo stremowany, zwłaszcza, gdy grałem z Danką Szmidt z Radomia (późniejszą żoną Zbyszka). Grała świetnie zarówno w tenisa jak i w ping-ponga, będąc wielokrotną mistrzynią Polski w obu tych dyscyplinach. Wielki talent i uroda.

Polonia była wówczas i w I lidze piłki nożnej, w której grał legendarny bramkarz Borucz, oraz początki stawał Kulesza, późniejszy trener drużyny narodowej. Polonia ponadto miała świetnych, I ligowych koszykarzy i koszykarki.

Wśród koszykarek prym wiodła Lothówna, pochodząca ze słynnej rodziny sportowców. Graczem Polonii był nawet mistrz świata w szachach Wróbel, w kategorii tzw. końcówek, czyli układania łamigłówek nie do wygrania przez przeciwnika. Chodziłem na mecze tych sławnych kolegów klubowych, przeżywałem je i powracałem do szkoły po to tylko, by zaraz po lekcjach znów urwać się do Klubu. Nie miałem czasu na zmartwienia, a martwić się było o co. Mama była wiecznie chora i wyczekiwała na „Powrót Taty”. Jego legendę Mama podtrzymywała we mnie. Jestem jej za to wdzięczny.

W szkole nauczycielem WF był Witold Paszkowski, AK-owiec, niezwykle przystojny i elegancki. Otaczał mnie specjalną opieką, bowiem znał moją historię oraz myślę, że podobała mu się moja Mama, kobieta wówczas bardzo atrakcyjna. Dzięki niemu czasem grałem nawet w reprezentacji szkoły w koszykówce, gwoili sprawiedliwości, co do mojej gry to zwykle siedziałem na ławce rezerwowych, co czasem wiązało się nawet z wyjściem na boisko. Dzięki niemu jeździłem na szkolne obozy narciarskie w Bukowinie Tatrzańskiej. W ten sposób, ja „ceper warszawski” wylądowałem nawet później w reprezentacji Warszawy juniorów na mistrzostwach Polski w Iwoniczu w 1952 r., bowiem w biegowych mistrzostwach Warszawy udało mi się przybiec na trzeciej pozycji. Byłem wtedy i członkiem sekcji narciarskiej Polonii, gdzie prym wodził zjazdowiec Andrzej Szuch, Wojtek Sosnowski oraz Jerzy Iwaszkiewicz, z którego młodszym bratem jeździłem na nartach na różnych obozach.

W Polsce nie było wówczas sprzętu wyczynowego dla każdego zawodnika, zwłaszcza w biednym „Kolejarzu”. Na mistrzostwa te otrzymałem na Dworcu Głównym w Warszawie narty biegowe i skokowe od seniorów, powracających z mistrzostw w Szczyrku. Wsiadłem do nocnego pociągu i dojechałem do Iwonicza, gdzie dopiero mogłem przymierzyć przydzielone mi narty. Oczywiście były na mnie za duże, miał je przedtem kolega-senior Bielawski, bardzo silny i o wielkiej postawie biegacz i kajakowiec. W czub buta biegowego włożyłem wate, ale to nic nie pomogło, bowiem nie czułem nart, które właśnie były tylko przymocowane do czubków butów. Nie powiedziałem o tym nikomu, aby mnie nie wycofano z biegu na 6 km. Trasa była trudna, tzw. norweska, czyli więcej miała podbiegów aniżeli zjazdów. Ciagle mnie mijano, właściwie powinienem zrezygnować z biegu. Nie zrobiłem tego, bo trener nasz Andrzej Zimilski obiecał dać całą pomarańczę każdemu, kto dobiegnie do mety. Więc dobiegłem i to nie ostatni. Ku mojemu zdziwieniu dostałem tylko połówkę. Byłem bardzo rozczarowany. Pomarańczy wówczas nie sprowadzano do Polski, chyba tylko dla wybranych albo na specjalne okazje. Na mistrzostwach tych honor warszawiaków ratował wtedy świetny zjazdowiec Andrzej Sykut i Andrzej Szuch.

Po 40 latach spotkałem prof. Ziemilskiego w Toronto na spotkaniu STUDIUM ds. Polskich. Powiedziałem mu wtedy o tym moim zawodzie na mecie. Pamiętał i uśmiechnął się ze zrozumieniem. W Kanadzie przebywał dlatego, że jego żona z d. Dzieduszycka została konsulem generalnym w Montrealu. Powiedziałem mu wtedy jeszcze i to, że świat jest jednak mały. Jego teść hr. Wojciech Dzieduszy-

ki, sławny satyryk, twórca kabaretu „Dymek z papierosa” siedział z moim Ojcem w obozie koncentracyjnym. Na spotkaniu b. więźniów obozu Gross-Rosen we Wrocławiu hr. Dzieduszycki powiedział mi wiele dobrego o moim Ojcu.

W naszej szkole przeważały dzieci z tzw. czarnej reakcji, prawie nie było dzieci prominentów, chociaż szkoła nasza, mieszcząca się przy ul. Smolnej 30, znajdowała się vis a vis wielkiego kompleksu gmachów KC Partii w al. Jeruzolimskich róg Nowego Świata. Wśród dzieci było chyba tylko dwoje, których ojcowie byli z tzw. pogranicza władzy: jednym z nich była Alina, córka profesora Stanisława Lorentza, ogólnie bardzo cenionego, bezpartyjnego dyrektora Muzeum Narodowego, które też znajdowało się vis a vis naszej szkoły. Chyba Lorentzowie musieli mieszkać w okolicy a może i nawet w samym muzeum, bowiem często widywałem ją z psem koło szkoły.

Drugim prominentnym dzieckiem był Władysław Turski, syn Stanisława Turskiego wieloletniego bezpartyjnego (b. PPS-owca) rektora Uniwersytetu Warszawskiego w czasach stalinowskich. Tego typu ludzi nazywano wówczas „bezpartyjnymi Bolszewikami”. Kolegę Turskiego każdy wówczas znał, bowiem miał charakterystyczną sylwetkę, był gruby, niemal bez szyi, wiecznie gonący po korytarzach kolegów i bijący ich swoją podniszczoną teczką, stale spocony i zadyszany, wrzeszczący coś niezrozumiałego na pograniczu charczenia z niezwykle czerwoną, spoconą twarzą. Dzięki koneksjom ojca ukończył on astronomię w Moskwie (czasy sputników) a potem coś jeszcze w Londynie. Kiedy zorientował się, że z uwagi na swoją nieforemna figurę, pomimo protekcji, nie zostanie kosmonautą, przerzucił się na informatykę, w której doszedł do stopnia profesora. Niestety, kiedy działał w informatyce, nie wyzbył się wspomnianej napastliwości. Ojciec jego też nie przebiegał w środkach, stąd o Władysławie mówiono potem „taki mały a już Turski”.

Większość kolegów moich od „Górala” pamięta najlepiej Stanisława Pęczka, lidera komunistycznego ZMP. Był energiczny, elokwentny, z charyzmatem, uczeń o dużej „świadomości klasowej”. Przemawiał przy każdej najmniejszej okazji, a było ich wiele, jako że długie przerwy służyły za forum uświadamiania młodzieży. Dlatego był nielubiany, chociaż na jego korzyść przemawia fakt, że wierzył szczerze w to, co propagował. Ukończył chemię i został profesorem w PAN. Oczywiście jako profesor nauk ścisłych, z dobrymi koneksjami na Zachodzie, nie mógłby być uczciwym naukowcem, gdyby wierzył nadal w to, co okazało się wielką lipą i zbrodnią. Spotkałem go po latach w 1977 r. na Akademickich Mistrzostwach Polski w tenisie w Łodzi. Niechętnie powracał do czasów „Górala”. Ba, „któż w młodości nie był strażakiem lub socjalistą”, zapytał posługując się znaną maksymą francuski minister wręczając Legię Honorową Jackowi Kuroniowi, Ministrowi Pracy w rządzie Solidarnościowym. A przecież Kuroń był zatwardziałym komunistą, który zwalczał polskie harcerstwo w okresie, gdy kolega Pęczek na mniejszą skalę nawracał „czarną reakcję” u „Górala” na „dziejową drogę sprawiedliwości społecznej”.

W tym samym czasie robiłem wszystko u „Górala”, by Pęczkowi nie powiodła się jego misja. W 1953 r. w marcu, na wieść o śmierci Stalina w pełni swej naiwności uwierzyłem wraz z paroma kolegami, że to już koniec ZSRR. Z tej okazji, wracając z zajęć Wychowania Obywatelskiego, zamiast schować wiatrówki do specjalnego szkolnego magazynu, poszliśmy do naszej klasy i zaczęliśmy strzelać do portretów dostojników państwowych, które w miejsce krzyża wisiały w każdej klasie. Paroma kulami zostały przeszyte portrety Bieruta, Cyrankiewicza i Rokossowskiego. Nie poląła się krew, za to posypało się szkło. Zrobiono dochodzenie i wykryto nas, sprawców niewyobrażalnego w owych czasach uczniowskiego „zamachu stanu” tuż pod boki centrum dowodzenia partii i państwa. Nauczycielem Wychowania Obywatelskiego był młodzian o podobnym profilu do Pęczka. Zatwardziały i bardzo wierzący w nowy ład, chociaż chodził w długo-krótkich do kostek spodniach i skarpetkach w poprzeczne kolorowe paski. Był to wówczas strój tzw. bikiniarza. Brakowało mu tylko czapy wypchanej gazetami z tyłu.

Cała sprawa przybrała bardzo poważny obrót. Kilku kolegów wyrzucono z wilczymi biletami. W ten sposób złamano życie Sławkowi Mackiewiczowi i Andrzejowi Czarneckiemu, którzy nie mogli dostać się do żadnej szkoły. Mnie wyratowała jak zwykle Mama. Pokazała swe poprzestrzelane ręce, opowiedziała o śmierci Ojca i domyślałem się, że zmiękczyła serca ówczesnych decydentów. Jestem pewien, że pomógł mi wówczas prof. Paszkowski. Zostałem przeniesiony do szkoły im. Tadeusza Reytana, mieszczącej się przy ul. Rakowieckiej róg Wiśniowej. Przyjęto mnie tym łatwiej, że kolegowałem się z Pawłem Kikolskim, którego matka była wicedyrektorką tego gimnazjum.

Z bólem serca pożegnałem się z „Góralem”, gdzie przyjaźniłem się z Maciem Szeredą i kolegowałem z Markiem Żyszko, Krzysztofem Wojciechowskim, Januszem Szombarą, Andrzejem Karczem i Andrzejem Radwańskim. Wszyscy oni pokończyli studia: Maciek, Marek i Andrzej zostali świetnymi inżynierami. Z Maciem buszowałem potem po Paryżu w latach 1962/64, gdzie mój kolega mieszkał przez wiele lat, i gdzie nauczył się budować mosty z betonu sprężonego, która to technika nie była znana wówczas w Polsce. Następnie po jego powrocie do Ojczyzny, pomagał mi bardzo oddanie i sprawnie w Krajowym Biurze Informatyki. Ponieważ mieliśmy największe kontakty z Francją, jego bezbłędny i bez akcentu francuski oraz światowe maniery były nieocenioną pomocą.

Szkoła im. Tadeusza Reytana

Znalazłem się u „Reytana” w 1953 r., zaledwie 9 lat po tym jak obserwowałem egzekucje na podwórzu gimnazjum z okna sąsiedniego domu. Gimnazjum miało dobrą opinię, zwłaszcza słynęło z dobrych matematyków, którzy wygrywali kolejne olimpiady matematyczne. Było to zasługa profesora Stefana Kozickiego, powszechnie zwanego „Kozikiem”. Umiał świetnie uczyć matematyki

nawet tych najbardziej opornych na tę dziedzinę ścisłej wiedzy. Zaliczałem się do nich. Przez kilka kolejnych lekcji wzywał mnie do tablicy, gdzie uczył mnie jak myśleć w kategoriach matematyki. Zawsze po kolejnym wyjściu do tablicy miałem cichą nadzieję, że to już ostatni raz. Myliłem się. „Kozik” zaraz po wejściu do klasy, bez otwierania dziennika wywoływał moje nazwisko. Odtąd byłem dobrze przygotowany i w ten sposób musiałem nauczyć się i polubić ten trudny przedmiot, zwłaszcza od momentu, gdy zacząłem go rozumieć. Dzięki temu nie miałem potem żadnych problemów na Politechnice czy to z matematyka czy fizyką.

U Reytana grałem znów w ping-ponga, najczęściej z Andrzejem Boberem, późniejszym wybitnym dziennikarzem i Jurkiem Garbarczykiem, zwanym „Garbarą”. Powoli ping-pong tracił u mnie priorytet na rzecz tenisa, któremu aż do dzisiaj poświęcam mój czas wolny. W tenisa grywałem z Michałem Jungiem, obecnie lekarzem w Kanadzie (potomkiem założyciela wielkiego warszawskiego browaru Haberbusz i Schile) i Jurkiem Lindnerem, aktualnie inżynierem w USA, kibicował nam Wojtek Kryński, późniejszy biznesmen w Afryce Południowej oraz Michał Keh, obecnie główny informatyk w Światowej Agencji Zdrowia, w regionalnym oddziale w Waszyngtonie. U Reytana nauczyłem się skoków narciarskich i to w dość przypadkowy sposób. Mieliśmy w szkole świetnego skoczka Bogdana Łopieńskiego, który raz spytał się czy skacze? Oczywiście powiedziałem, że tak. Choć moje skoki wykonywałem na muldach przy zjeździe a nie na prawdziwej skoczni. Zaprosił mnie na skocznię w Agrikoli. Można na niej było skakać do 22 m, była stroma i zjazd momentalnie kończył się na płaskim terenie. Wszedłem na górę i dopiero, gdy stanąłem na zeskoku zdałem sobie sprawę z powagi sytuacji. Na wycofanie było już jednak za późno. Ruszyłem w dół, odbiłem się i lecę nad drzewami, nie mogąc doczekać się wylądowania. Ku mojej wielkiej radości i zdziwieniu, skok ustałem i jakoś nie zblamowałem się przed kolegą, który skakał jak Zakopiańczyk. Potem skakałem już pewniej, nawet na kilku innych skoczniach.

W 1954 r. zdałem maturę, po której pozostał mi do dzisiaj smak świetnych paczków Bliklego, jakie maturzyści dostali od tego wysmienitego cukiernika z tej okazji, że jego syn był uczniem u Reytana.

Tenis, 1951–1971

Kiedyś wstąpiłem na korty Agrikoli w Parku Szkolnym pomiędzy ul. Myśliwiecką a ul. Agrikolą. Korty znajdowały się pod filarem obecnej trasy Łazienkowskiej, dziś nie ma po nich już śladu. Od tego czasu coś się we mnie zmieniło, ograniczyłem tenis stołowy i zacząłem coraz częściej grać w ziemnego tenisa. Początki gry w tenisa są bardzo ciężkie i niewdzięczne. Bardzo trudno jest nauczyć się trafiać w piłkę, a potem jeszcze trudniej jest ją przerzucić na drugą stronę siatki a zwłaszcza kilka razy pod rząd. Nieraz gra się już trzy lata, a wciąż jest daleko do umiejętnej gry i związanej z tym przyjemności. Przez to wielu

zniechęca się do tenisa. Oczywiście łatwiej jest nauczyć się gry, gdy jest się młodym. Byłem młody i jakoś mi szło, miałem dzięki grze w ping-ponga wyzucie piłki.

Korty na Agrikoli były w owym czasie miejscem spotkań tzw. złotej młodzieży, która snobowała się grą w tenisa. A tenis wówczas był synonimem Zachodu. tenisisci australijscy, rock-and-roll i coca-cola kojarzyła się nam właśnie z owym mitycznym Zachodem, znajdującym się gdzieś „daleko” za Żelazną Kurtyną. Na sąsiednich kortach Legii przy ul. Rozbrat panował duch Zachodu, odbywały się tam mecze tenisowe o Puchar Davisa, na które schodziła się cała śmietanka Warszawy a nawet z całej Polski. My na trybunach przez trzy dni meczu czuliśmy, że „jesteśmy” na Zachodzie. Dodatkowego uroku dodawał fakt, że w tenisie liczy się po angielsku. Nawet w meczach krajowych często liczyliśmy po angielsku, aby dodać sobie animuszu. Przyjeżdżali do nas Rumunii z braćmi Viziru, Węgrzy z Asbothem, Czesi z Zabrodzkym (Jarosław Drobny już wtedy uciekł do Egiptu), Szwedzi z Davidsonem i Lundquistem, Argentyńscy z Moreą i Mandarino, Brazylijczycy z Kochem, Anglicy z Mottramem, Włosi z Pietroangelli, Sirolą i Merlo, Austriacy z „latającym” Huberem, Niemcy z Bungertem i Künke, Chilijczycy z Ayalaą, Meksykańczycy z Osuną itd. Grał przeciw nim legendarny Władysław Skonecki a w jego cieniu Józef Piątek, potem Andrzej Licis o „żelaznych”, ale jakby z gumy nogach i Wiesiek Gąsiorek.

Tenis jeszcze bardziej stał się wówczas legendarnym sportem, kiedy Władysław Skonecki uciekł na Zachód i z Radia Wolna Europa dowiadaliśmy się o jego świetnych wynikach na Zachodzie. Powrócił do kraju po 1956 r. Na meczach trybuny pękały w szwach a o bilety było bardzo trudno. Chodziłem na te mecze bardzo podniecony. Fama Zachodu sprawiała, że w naszych oczach Skonecki był „najlepszym” tenisistą świata, że praktycznie mógłby wygrać z każdym, gdyby tylko chciał. Gdy miał w tym względzie trudności, w przerwie 5-cio setowego meczu udawał się do szatni, gdzie pan Rosiak wzywał panią Stenię na pomoc w sprawie „wyeliminowania stresu”. Zapewne goniły go wspomnienia z niemieckiego obozu, gdzie był wykorzystywany dla podrasowania narodu niemieckiego. I tak to już weszło w jego nałóg. Pani Stenia też zaraziła się Zachodem i wkrótce wyjechała z Portugalczykiem „Osculatti” do Portugalii, gdzie zmarła.

Było w dobrym stylu granie w tenisa, które wówczas jakby wyznaczało stosunek gracza do „polityki”. Mama mocno popierała moje zainteresowanie w sporcie, bowiem nie chciała, abym angażował się w oficjalne działania społeczne a tym bardziej polityczne. Na Agrikoli odbywały się prawie codziennie mecze między panem Mieciem Jelonkiem a Zbyszkim Woytowiczem na korcie nr 1. Pani Łotyszowa, kortowa i bufetowa sama przygotowywała kort, a pan Mietek rzucał nań pańskim gestem nowe piłki, wówczas bardzo drogie. Piłki rozlatywały się po czerwonym korcie, czekając na swych pogromców, a kibiców rażąc swą bielą i nowością. Oczywiście grano piłkami z Zachodu *slezingerami* czy *dunlopami*, które nie wiadomo jakim sposobem docierały na Agrikolę.

Wszystko było wówczas w białym kolorze włącznie z piłkami, które dziś są już tylko produkowane w kolorze żółtym. Na jedno-lawkowej trybunie zasiadali wierni kibice. Było na co patrzeć, Zbyszek grał świetnie, ale trudno mu było ograć pana Miecia.

Pan Mietek był kierownikiem kortów, właścicielem ciężkiego motocykla BMW oraz handlował wędliną. W sumie był dobrze sytuowany. Korty przeznaczone były dla młodzieży szkolnej, chociaż ja byłem jedynym tenisistą, który chodził wówczas do szkoły, to większość grających pochodziła z prywatnej inicjatywy albo wolnych zawodów i oni to nieraz przebijali cennik wynajmowania kortów, aby można było dostać kort w danym dniu. Tak więc Jelonek miał z góry „wszystkie korty zajęte”. Mam wrażenie, że ten sprytny, ale i świetny tenisista-biznesmen na własną rękę zwalczał reżim stalinowski, nie odprowadzając należności za wynajmowanie kortów do kasy państwowej. Zdawaliśmy sobie z tego doskonale sprawę i dzięki temu można było na ogół wynająć kort.

Pewnego rodzaju nobilitacją było zagranie na korcie nr 1 z Jelonkiem. Zaszczycił ten spotkał tylko niewielu, m.in. „Lodziarza” — Wiernickiego. Mecz taki musiał kosztować majątek właściciela Zielonej Budki. Grał dość dobrze, ale z Jelonkiem liczył tylko gemy. Jedyne Romaniuk mógł dotrzymać Jelonkowi gry, ale on był pierwszoligowym graczem „Warszawianki”. Gdy na korcie nr 1 grał Zbyszek Lengren, satyryk, „ojciec” profesora Filutka z „Przekroju”, wiadomo było, że to nie był mecz a tylko lekcja albo gra o gruby zakład, gdzie z góry można było wskazać zwycięzcę. „Kulus” Zbigniew Bełdowski był trenerem klubu „Spójni”, który również korzystał z kortów Jelonka. Był stylowym i chyba najlepszym wówczas w Polsce deblistą. Jelonek wołał nie grać z nim meczy, natomiast Kulus grywał na tym samym korcie z Romaniukiem i Ksawerym Tłoczyńskim (bratem polskiego Daiscupowca, Ignacego, który pozostał po wojnie w Londynie). Mecze Kulusia stały oczywiście na wyższym poziomie od meczów Jelonka, ale nie było w nich dramatów, jakie wnosił na kort pan Miecio, raz po raz rzucając na ziemię raketę i klnąc dość przyzwoicie albo „cholera” albo „cholera jasna” czy „psia krew”, po każdym nieudanym zagranie. Uroku dodawał sam wygląd Jelonka, któremu spadały spodenki z wystającego brzucha, bo on zwykle nie zaciągał dobrze tasiemki.

Na korty wpadała Maria Ginterowa z kolejnym aktorem pod pachą, w owym czasie chyba praktykował August Kowalczyk. Wysoka, szczupła, w powabnej sukience, rzucała okiem na kort i na zebranych kibiców, czasem któremuś włądco i z pobłażaniem machnęła ręką, po czym rozbierała się i grała, nawet gdy „nie było” wolnych kortów. Ta niewątpliwie polska amazonka XX wieku nr 1 świetnie grała (i gra nadal) w tenisa, jeździła konno, malowała, rzeźbiła, pisała i zagarniała życie kolejnych mężczyzn. Polska stalinowska była za mała dla jej talentu, uciekła na Zachód, gdzie nadal czarowała swoją osobowością. W latach 1980. grywałem z nią w tenisa na *Long Island* koło Nowego Jorku.

Wiele działo się w trójkącie Krystyna Progulska, Wojtek Sosnowski i Jerzy Progulski. Inżynier Progulski-mąż tracił siły na korcie nr 1 z Zielińskim, a na

trybunie (i nie tylko) Wojtek z Krystyną-żoną trzymali się za ręce. Progulska świetnie grała nie tylko w tenisa, była w kadrze narodowej zjazdowców i w siatkówce. Była kobietą szalenie atrakcyjną, szczupłą, dorodną, wysportowaną i inteligentną, jak przystało na dziennikarkę radiową. Wojtek (inżynier) natomiast dobrze grał w tenisa, ale nadto był (i jest) szalenie przystojny z nienagannymi manierami, robiący wrażenie „nie dającego sobie rady”. Progulski nie mając szans uciekł na Zachód, podobnie jak i jego partner od gry Zieliński. Ten zaś zginął od uderzenia butelką w głowę na statku wycieczkowym, gdzie zapewne odgrywał rolę polskiego Casanowy. Opowieść o jego śmierci snuta na kortach Agrikoli urastała do metaforycznego symbolu. To „nic”, że Zieliński zginął, nas wszystkich najbardziej fascynowało to, jak on zginął, „na statku wycieczkowym i to na Zachodzie”. On to miał „dobrze”, a my tu musimy grać w tenisa na „Agrikoli” w „PRL-u”, „dyktaturze ciemniaków”.

Wracając do Wojtka Sosnowskiego, z którym łączy mnie wieloletnia przyjaźń tak w Polsce jak i w Stanach Zjednoczonych, zauważyłem, że wymagał on jakby „opieki kobiecej”, którą momentalnie „otrzymywał” od wielu zaradnych kobiet. Wkrótce i on uciekł na Zachód, gdzie na tym samym *Long Island* ponownie grywałem z nim w tenisa, a przede wszystkim śledziłem z zapartym tchem jago jakże często nieskuteczną obronę przed ową „opieką kobiecą”. Nie obronił się i ożenił w Nowym Jorku w 1995 r. po raz któryś z kobietą życia, młodą lekarką, co w amerykańskich warunkach oznacza majątek. Wreszcie to mu się należało. Z Progulską nie ożenił się, jej mąż wyjechał na Zachód, a Krystyna pozostała w PRL, nigdy już nie wychodząc za mąż. Czekala na drugiego „księcia” — Wojtka, ale taki był i jest tylko jeden.

Na Agrikolę często przychodził red. Bohdan Tomaszewski, sławny ze świetnego głosu sportowego sprawozdawcy radiowego. Sam nieźle grał w tenisa, przed wojną był dobrze zapowiadającym się juniorem. Propagował tenis w radiu, prowadząc sprawozdania z meczów o puchar Davisa. Najczęściej jednak przeważała u niego znakomita forma nad treścią. Nie tylko bowiem kibice byli zakochani w jego naprawdę unikalnym głosie ale i on sam. Był znany z licznych tzw. wpadek, kiedy transmitował coś co w rzeczywistości miało zupełnie inny przebieg. Tak było z biegiem Chromika na 3000 m z przeszkodami w meczu z Anglikami na stadionie *White City* w Londynie podczas gęstej mgły (co go w pewnym sensie usprawiedliwia), czy w czasie fenomenalnego skoku Fortuny na olimpiadzie w Sapporo. Fortuna leci w kapitalnym skoku po „złoto”, a pan Bohdan w tym momencie zachwyca się chmurami na japońskim niebie. My w Polsce zauważyliśmy ten skok, a on w Sapporo go przegapił.

Gdy red. Tomaszewski wpadał na Agrikolę, pod pachą miał najczęściej o dwie głowy niższego Leopolda Tyrmanda. Wtedy Tyrmand był jakby w cieniu Tomaszewskiego. Dziś chyba jest odwrotnie. Tyrmand wówczas klepał wielką biedę. Gdy wielu twórców poszło na garnuszek PRL-u, on z niego nie skorzystał. Jakoś trwał, żył niemal z „powietrza” i pisał swój świetny „Dziennik 1954” oraz zakładał Federację Jazzu, obie te formy jego działania były silnie demonstracyjnie pro-

Zachodnie w stalinowskim reżimie. W swej twórczości zwalczał marksistowską doktrynę „walki klasowej”, a zwłaszcza w swych stosunkach z kobietami. Tu szedł na daleko idące ustępstwa i równouprawnienie, nie gardząc żadną nadarzającą się okazją. Opisał to znakomicie w „Złym”, społecznej epopei tamtych czasów. Sam ubierał się jak bikiniarz, tzn. nosił owe do kostek tylko spodnie i kolorowe w prążki skarpetki. Była w tym względnie jedna zasadnicza różnica. Tyrmand nie naśladował innych, to oni naśladowali jego, on wyznaczał styl i „szpan”. Grywałem z Leopoldem w tenisa, bowiem był na tyle doświadczonym graczem, że wiedział iż przyjemność gry może uzyskać z lepszym tenisistą. Pomimo tego nie lubił przegrywać. Ceniłem go za tę jego sportową ambicję i tę jakże często złudną wiarę, że następnym razem wygra. Trenował ze mną, aby ograć innych. Tomaszewskiego czy innego kolegę ze SPATiF-u. Byłem tylko współuczynnikiem w jego tenisowym równaniu, niewiadomą byli inni.

W cieniu tych niewątpliwie „ikon” owych czasów, przez korty Agrikoli przewały się postacie, które połknęły bakcylię tenisa i „szpanu”. Niewątpliwie należał do nich Sławek Bohun, gracz, który nadrabiał swój mały wzrost wielką dynamiką i jeszcze większą elokwencją, połączoną z ciągłym opluwaniem się i zachłystywaniem się własną śliną oraz podrywaniem dziewcząt o głowę co najmniej wyższych od siebie. Utknęła mi w pamięci zwłaszcza jedna siatkarka, wysoka około 1,85 m i z wielkim numerem stopy, chyba „10”. Trzymała Bohuna, jak piłkę przy serwie. I on też wyjechał na Zachód, zaszywszy się gdzieś w Teksasie, sławnym z tego, że wszystko co teksańskie to największe. Ten kompleks „wielkości” nie ominął tego polskiego „Napoleona” tenisowego i na emigracji.

Tenisistą dopuszczanym na kort nr 1 był też Józek Kossakowski, najinteligentniejszy gracz Agrikoli. Zapomniałem dodać, że większość meczy na Agrikoli szła o pieniądze, tak na samym korcie, jak i na trybunie. Nie duże co prawda, ale pieniądze. Stąd mecze te były tak dramatyczne i widowiskowe. Otóż „Kosa” był w tych zakładach najlepszy. Grał wyłącznie na zakłady, inaczej szkoda było mu czasu. Najczęściej ogrywał Wieśka Górskiego, znanego z dramatycznego i ciągłego opuszczania na ziemię rakiety po każdym niemal kiksie. Kosa grał tak dobrze, że z niektórymi grał o pieniądze siedząc na krześle przy ostatniej linii. Handlował brylantami i dolarami, na skalę mafioza włoskiego. Po 1989 r. został zamordowany przez mafiozów rosyjskich. Dopadli go przy jego domu, żonie narzucili płaszcz na głowę, aby nie widziała jak zaszyteliwali męża. Spłacili rachunek. Chociaż Kosa był w takich sprawach bezwzględny (choć tym razem przeliczył się) to w stosunku do nas tenisistów, jak ja bez pieniędzy, był bardzo koleżeński i sympatyczny.

Grywałem na bardzo małe zakłady ze Staszkiem Stadniczenko, sekretarzem Zrzeszenia AZS, zawsze opalonym i w dobrym humorze. Grał dość nieźle i gra z nim była dla mnie przyjemnością i źródłem małych wpływów, za które mogłem opłacić kort czy kupić nowe piłki. Zawsze chodził z czarnym pudłem na smyczy z białą kokardką, którego przywiązywał przy trybuncie kortu nr 2, który był jakby naszym kortem. Nie był to kort nr 1, ale zaraz obok niego usytuowany

i z trybunką. Staszek opowiadał nam niesłychane przygody z jego walk w Dywizji Kościuszkowskiej, zwykle typu oswobodzania niemieckich cystern z... wódki i perypetii tych spragnionych, co się w niej topili z wysuszenia. Niewątpliwie był zaufanym ówczesnych władz i kto wie, czy nie opiniodawcą, o tym co się działo w sercu Warszawy wśród tak dobranego towarzystwa. Tak myślę dzisiaj, gdy więcej wiem o tych czasach, wtedy nikt z nas o tym pewnie nie myślał. Zresztą mieliśmy na Agrikoli w głowie głównie tenis i pięć piękną.

Pod koniec egzystencji Agrikoli doszłusował nowy gracz-hazardzista Benio Szymański, „super-samiec”. Grał na początku słabo, ale po codziennych meczach na pieniądze z dobrymi tenisistami podciągnął się wyraźnie i był coraz trudniejszym przeciwnikiem. Grał zwykle bez koszulki, aby pochwalić się swym mocnym, opalonym torsem, chociaż wszyscy graliśmy w koszulkach, ale jemu jakoś to uchodziło płazem. Budował garaże prywatnym zleceniodawcom i świetnie zarabiał, forsa wychodziła mu z każdej kieszeni a zwłaszcza z oczu. Jedna rzecz była zadziwiająca, choć Beniek nie był typem intelektualisty to jednak lubował się w kobietach subtelnych. A może kobiety subtelne przepadają za mężczyznami z pieniędzmi?

W cieniu tych jakże kolorowych postaci przewijał się Adam Choynowski, redaktor „Przeglądu Sportowego”, skupiony niczym profesor matematyki. Urodzony analityk sportu. Mimo dużej wiedzy o sporcie, tenisa uczył się przez całe życie (zresztą jak każdy z nas) i jeszcze na Legii to robi w latach 1990., gdzie część towarzystwa przeniosła się po zlikwidowaniu kortów Agrikoli. Jest na tyle dobry, że ogrywa tam innego zapaleńca red. Andrzeja Romana czy Ryszarda Pawelca. Innym redaktorem sportowym, który „trenował” na Agrikoli był Zbyszek Chmielewski z PAP-u. Gdy zaczynał przychodzić grał jeszcze słabo. Wkrótce gra z lepszymi a zwłaszcza na pieniądze sprawiła, że Redaktor zaczął wcale nieźle grać, kiedyś mnie nawet ograł na kortach „Elektryczności” na Wybrzeżu Kościuszkowskim.

Gdzieś około 1952 r. zaproponowano mi przejście do nowo powstającej sekcji tenisowej w klubie Polonia. Organizował ją Marian Hauffe i Nina Patzer. Pan Marian był typem angielskiego gentelmena, z nienagannymi manierami, wykwintnie ubrany i z wielkim osobistym urokiem, człowieka zawsze uśmiechniętego i dobrze życzącego każdemu. Z kolei pani Nina była typem przedsiębiorcy, bardzo konkretna i szybko zmierzająca do celu. Była właścicielką drobnej wytwórni sprzętu elektrycznego i sklepu przy ul. Mokotowskiej, tuż przy placu im. Zbawiciela. Jej ojciec był pierwszym polskim inżynierem-elektrykiem, wykształconym w Niemczech. Wkrótce założył własną fabrykę urządzeń elektrycznych, której wyrobami zelektryfikował Warszawę na początku XX stulecia.

Z tak wymienionymi działaczami sekcja nasza szybko zaczęła rozwijać się. W seniorach w kolejności raket grali Jurek Felmann, profesor-geodeta, Jurek Gołaszewski, inżynier kolejnictwa, Adam Mylius, specjalista od krajowego obrotu twardą walutą, Jurek Kozdroński, student prawa, wybitny statystyk meczy tenisowych, zwłaszcza własnych. Potem doszłusowali Tadeusz Czarnota, wybit-

ny inżynier chemik, Stefan Hahn, profesor, specjalista od techniki kwarcowej oraz Kazimierz Wojciechowski, właściciel wytwórni sztandarów kościelnych i oznak naszywanych na mundury. Pan Kazik miał „niszczący” forehand, ale za to nie miał backhandu, którego jeszcze uczy się w wieku po 75. W seniorach grało jeszcze kilku innych kolegów. W seniorkach oczywiście na pierwszej i jedynej rakiecie grała Nina Patzer. Natomiast w juniorach w kolejności raket grałem ja i Andrzej Lech z Radości oraz Michał Jung (kolega z „Reytana”), w juniorkach grała przeurocza i posągowa Marta Szretter, koleżanka od „Górala”. Grywałem z nią miksta, bałem się trochę jej czasem zaskakujących zagrywek, ale wybaczałem, za przyjemność grania z nią w jednej parze. Stale obecny narzeczony Filip Szmidt (wtedy już lekarz a później jej mąż, na krótko zresztą), onieśmielał mnie. Marta, chemiczka poszła w ślady Marii Curie-Skłodowskiej i wyjechała wkrótce do Paryża.

Dzięki staraniom naszych działaczy szybko wybudowano dla nas kort przy ul. Emilii Plater, vis a vis kościoła Św. Barbary. Przyszło to o tyle łatwo, że teren ten należał do Ministerstwa Kolei, stał na nim jeszcze olbrzymi barak z salą widowiskową. Obecnie w tym miejscu znajduje się szkoła, chyba z boiskiem usytuowanym na naszym dawnym korcie. Wspomniany barak odgrywał w życiu naszej sekcji dość doniosłą rolę. Aby zdobyć pieniądze na naszą sportową działalność, urządzaliśmy w tym baraku zabawy i koncerty jazzowe z Johson-Schile, „Dudusiem” Matuszkiewiczem, Karolakiem, czy Drązkowskim („Pięciu na Drązku”) z Krakowa. Jazz w czasach stalinizmu grano w „katakumbach” tzn. m.in. w naszym baraku. Publiczność waliła drzwiami i oknami, a my juniorzy dla niepoznaki wynosiliśmy co pewien czas zwały gotówki w pudełkach tenisowych, aby nas nie okradli w kasie. Ten świetny biznes skończył się, gdy pewien gość został uderzony pustą butelką w głowę i zmarł. Zabroniono nam popularyzować jazz, którego słuchano namiętnie z radia Luxemburg i Głosu Ameryki w tzw. Godzinie Jazzu o godzinie 10 wieczorem, przeplatanej zapowiedziami niedawno zmarłego Willy Conovera o charakterystycznym głosie.

Ponieważ klub Polonia należał do Zrzeszenia „Kolejarz”, mieliśmy z tego tytułu darmowe bilety kolejowe. Mogliśmy zatem jeździć po Polsce, ile tylko się dało. W Kolejarzu działała świetna ogólnokrajowa liga tenisowa, co tydzień prawie graliśmy mecze albo u siebie albo na wyjeździe. Największym naszym przeciwnikiem był klub Nadwiślan z Krakowa, w którego barwach grały m.in. mistrzyni Polski juniorek Basia Dańda i Ewa Fogelman, a także Ewa Ciupryk. W tej ostatniej każdy z nas juniorów lekko się podkochał, dlatego też nie opuszczał jej na krok jej ojciec, przemiliły pan Adam Ciupryk. Życzył nam, dobrze, ale najlepiej córce. W juniorach staczałem mecze ze świetnym Andrzejem Kopaczem i jeszcze lepszym Andrzejem Faruzelem (późniejszym mistrzem Polski). Z tym ostatnim raz nawet wygrałem i raz przegrałem.

W Warszawie byliśmy najsilniejszymi juniorami, z Andrzejem Lechem mieliśmy dwa razy mistrzostwo stolicy w debla, a ja raz byłem nawet mistrzem w singla. W Ostródzie zdobyłem z Jackiem Karnkowskim i Michałem Jungiem

puchar Warmii i Mazur w łącznej klasyfikacji drużynowej seniorów i juniorów, tuż przed stołecznym klubem CWKS-Legia, który wówczas miał najsilniejszych seniorów w Polsce.

W tenisa nauczył mnie grać Kulusz Beldowski, przez blisko 3 lata grałem z nim regularnie w zimie i w lecie po dwa razy w tygodniu. Płacił za to klub, ale ja myślę, że z kasy pani Niny Patzer, za co jej tu jeszcze raz dziękuję. Kulusz był niewątpliwie najwybitniejszym trenerem tenisa w Polsce, który nie palił się do wychowywania młodzieży. Wolał lekcje prywatne i ja niestety jestem chyba jedynym, który dostał od niego pełne przeszkolenie. Na obozach Kolarza trenował mnie jeszcze Józef Hebda z Krakowa, tenisista legenda. Był sławny z rad na meczach międzynarodowych, kiedy był kapitanem polskiej drużyny. Siedział na ławeczce koło sędziego i do Piątka mówił swym mocno jaskającym się głosem „... Józiu przyciśnij”. Tylko tyle mógł wymówić ten przeuroczy Krakowiak.

Niestety moi świetni trenerzy natrafili na gracza bez instynktu „kilera”, tzn. bez instynktu „mordercy” (Instynkt ten mam na szczęście w zawodzie). Gram stylowo, umiem rozegrać inteligentnie piłkę ale nie umiem jej skończyć bezwzględnym uderzeniem. Tak się wtedy w Polsce grało, rozgrywano piłkę, a nie kończyło, aż do wymanewrowania przeciwnika albo jego skuszenia. Na mistrzostwach Polski juniorów w Szczecinie w 1954 r. grałem z Andrzejem Faruzem po 100-przerzutów, okazał się zwykle o jedną piłkę lepszy i został mistrzem. Zresztą Polska nie miała szczęścia do tego typu graczy, być może do nich zaliczyłbym jedynie Maniewskiego i Majewskiego z Sopotu. Nie był nim Skonecki ani Licis a nawet Wojtek Fibak. Natomiast byli nimi John McEnroe, John Connors, czy Roscoe Tanner.

Z tego względu miałem dużo dramatycznych meczy, ale zakończonych przegraną. Po prostu nie wytrzymałem fizycznie tak „cierpliwych” gier. Mało trenowałem, zwłaszcza w zakresie ogólnego rozwoju fizycznego. Jako junior przegrałem w trzech setach z aktualnym wówczas mistrzem Polski seniorów Bogdanem Maniewskim. W rok po wyjściu z juniorów na mistrzostwach seniorów w Poznaniu przegrałem w 5-ciu setach, po 4,5 godzinach gry z mistrzem seniorów Łodzi Andrzejczakiem, który poprzedniej niedzieli wygrał z mistrzem Polski Andrzejem Licisem. Z tym ostatnim nie mógł dotąd wygrać żaden krajowy rywal. Na meczu z Andrzejczakiem doktor stał przy korcie i podawał mi wodę z solą. Graliśmy od 11 do 4 z małymi przerwami. „W samo południe”. Najwięcej sobie cenię zwycięstwa z Maćkiem Rogozińskim, późniejszym czołowym seniorem Polski i Mietkiem Rybarczykiem, późniejszym mistrzem Polski i świetnym daviscupowcem. Zwycięstwa te odniosłem w juniorach, byłem więc „dobrze” zapowiadającym się tenisistą. Żeby kontynuować twardą karierę w wyczynowym sporcie musiałbym zrezygnować z Politechniki, czego oczywiście nie miałem zamiaru zrobić.

Mecze w Polonii żyły naszą drużynę i były prawdziwą przyjemnością dla wszystkich. Zwiedziliśmy prawie całą Polskę i to prawie za darmo. W tamtych czasach w Polsce nie było społeczeństwa konsumpcyjnego, nie było motoryzacji

ani nawet mieszkań dla potrzebujących, stąd władze partii oferowały ludziom za darmo sport i prawie za darmo masową rozrywkę i kulturę, abyśmy nie nudzili się i nie myśleli za dużo i nie wychodzili na ulice w proteście. Model ten nie przetrwał do współczesnych czasów, upodobił się do modelu zachodniego, gdzie czynnik samowystarczalności odgrywa najważniejszą rolę. Niewątpliwie jest to podejście finansowo zdrowe, ale dobre jak... „Pogoda dla bogaczy”.

Nie żałuję tamtych przygód, radości i smutków, jakie przynosił mi sport, chłopakowi wtedy prawie bez pieniędzy. Dzięki temu do dzisiaj gram regularnie w tenisa.

Tenis jest grą błędów i ciągłym procesem ich eliminowania. Tenis nauczył mnie dążenia do perfekcji, co w dziedzinie takiej jak informatyka jest konieczne. Porażki w tenisie, czy gra do ostatniej piłki w sytuacjach beznadziejnych, a jednak ciągle z myślą wygrania, nauczyła mnie jak przetrwać porażkę czy kryzys w życiu poza sportem. Ponieważ wszedłem wkrótce w „wiek męski, czyli kłęski” ta umiejętność przetrwania przydała mi się w wielu trudnych chwilach życia. A było ich coraz więcej.

Po wstąpieniu na Politechnikę Warszawską grałem w tenisa już tylko rekreacyjnie. Klub Polonia przeniósł się na stadion przy ul. Konwiktorskiej, gdzie sekcja stopniowo zaczęła podupadać. Korty były za daleko od centrum stolicy. Przeniosłem się na Legię, jak i większość kolegów z Agrikoli, po jej zburzeniu. Był to klub wojskowy, gdzie patrzono na nas dość niechętnie a nawet podejrzliwie. Wprawdzie grali w niej najlepsi tenisiści w owym czasie w Polsce, jak np. Janek Radzio, Janusz Kwiatek, Tadek Piotrowski czy Heniek Sebrała a potem Tadzio Nowicki, Jacek Niedźwiedzki, Bronek Lewandowski, czy Adam Minceberg, ale nie było tej atmosfery z Agrikoli. Zresztą najlepsi gracze nie palili się do treningu, widywaliśmy ich częściej w spodniach niż spodenkach.

Na Legii najczęściej grałem z red. Jerzym Kowalskim, który prowadził ciekawą audycję radiową o nowoczesności. Był bezpartyjnym, który upowszechniał w kraju tzw. dobrą robotę. Kiedy do władzy doszła Solidarność, wtedy zmuszono Kowalskiego do odejścia z radia. Była to ofiara polskiej transformacji. Nie spał z nikim z Solidarności na styropianie, dlatego musiał pójść na emeryturę, ten zasłużony i świetny radiowiec. Ilu takich skrzywdzono w III RP? To ci odsunięci i skrzywdzeni stali się potem elektoratem SLD i czytelnikami „Trybuny”.

Sekretarzem klubu z zasady był oficer a prezesem od 20 lat mec. Jerzy Lewiński, który najwięcej dbał o kort dla Aliny Janowskiej, świetnej i atrakcyjnej aktorki i miejsce w łóżu na meczu davisupowym obok niej. Dbął jeszcze o swoje prezesostwo. Działal bardzo chytrze w klubie i podobnie grał na korcie. Na wszystko miał wyrobione stoickie zdanie, co równało się status quo. Niewątpliwie zakochany jest w tenisie, który uprawia do dzisiaj na dość dobrym poziomie, będąc po 80.